

PRZEMIANY

Autorzy: Józef Koziński — Emil Zgaiński — Jan Borowiak — Józef Wojciechowski

Zagadnienia: Droga ku poprawie sytuacji gospodarczej — Łączność ponad granicami — W walce o nowoczesne miasto — W sprawie t. zw. sztuki społecznej — Komplex Baryki czy misterjum Buffo?

Sprawozdania: Po dwóch latach — Przegląd prasy — Wśród książek.

Rok II.

Nr. 13

Wydawca: **Mieczysław Peszczyński**

REDAGUJE: KOMITET

Redaktor odpowiedzialny: **Feliks Kanclerz**

Redaktorzy środowiskowi:

Katowice — **Antoni Gutyński**, ul. Andrzeja 9, m. 14.

Kraków — **Tadeusz Nowacki**, ul. Jabłonowskich 10/12, m. 17.

Lwów — **Wiesław Protschke**, ul. Obertyńska 4.

Poznań — **Zenon Trochimowicz**, ul. Półwiejska 30, m. 17.

Toruń — **Marjan Wojnowski**, ul. Mickiewicza „Dom Społeczny“, tel. nr. 15-03.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy Swiat 21, m. 4.

ABONAMENT: roczny 6,— zł, półroczny 3,— zł, kwartalny 1,50 zł; pojedynczy numer 30 groszy.

Konto P.K.O. Nr. 207.811.

PRZEMIANY

ROK II

Nr. 13

Warszawa, 15 grudnia 1935

Po dwóch latach

Dwa lata w dziejach pisma jest już niewątpliwie dostatecznym okresem czasu, by można było kusić się o pewną rekapitulację jego roli na tle rzeczywistości. Niemniej nie leży w moim zamiarze rekapitulowanie roli pisma, jako takiego. „Przemiany“, które postawiły sobie za cel śledzenie przeobrażeń w naszej dobie przeobrażeń społecznych i usiłowanie wyciągnięcia z nich jasnych wniosków o kierunkowych tych przeobrażeń — niejako zarysowywania konturów obrazu przyszłości, miały być przede wszystkim czułym seismografem dokonywujących się zmian rzeczywistości polskiej. Czytelnik pisma, który śledził je stale z uwagą, potrafi najlepiej ocenić, czy rolę tę spełniło. Największe jednak zainteresowanie — sądzę — budzić powinna na łamach „Przemian“, po upływie tych dwóch lat, próba zrekapitulowania przeobrażeń, zaszłych w tym okresie czasu w jednej chociażby dziedzinie struktury politycznej społeczeństwa.

Dwa lata temu stało nasze życie społeczno-polityczne pod znakiem **ześrodkowania decyzji w rękach człowieka - genjusza**. Marszałek Piłsudski wyznaczał niepodzielnie zasadnicze drogi państwowości polskiej. Społeczeństwo przywykło już w tym siódmym roku rządów pomajowych do ześrodkowania decyzji w rękach Marszałka. W szybkim tempie wygaszały czynne zainteresowania ogółu dla spraw publicznych. Polityczne opinie społeczeństwa, skupione dotychczas w partiach, demonstrowały się w sposób nieoczekiwanie prędko. Byli tacy, których w zacisze zaścianka zepchnęła mocna wiara w to, że Polska, prowadzona przez człowieka tej miary, co Józef Piłsudski, nie może zejść na manowce. Byli i tacy, którzy pod przymusem warunków politycznych zeszedli niechętnie w cień. I oni jed-

nak dzielili naogół — świadomie czy nieświadomie — spokój o całość i niepodległość Państwa. Marszałek zdobył to zaufanie przebojem kilkuletnich prac państwowych nawet u swoich zaciętych wrogów.

Kolejne rządy na przestrzeni dwóch ostatnich lat nie zaniedbały żadnej okazji, **by szlak ekspansji i urzeczywistnienia myśli genjusza, oczyścić z wszelkich oporów, przeciwności, trudności**. Zrobiono tutaj nawet znacznie więcej, aniżeli było potrzeba. Usidlono więc najpierw wszelką inicjatywę społeczną, która niosła w sobie najmniejsze chociażby niebezpieczeństwo „**pokrzyżowania szyków**“. Skolei starano się wtłoczyć inicjatywę społeczną w ciasne podwórko grup samorządowych. Wkońcu zaczęto głosić, jako zasadę, hasło rozproszkowania społeczeństwa i realizować je w całej rozciągłości. Dobitym przykładem programu **rozproszkowania, zatamizowania społeczeństwa, podniesienia go do godności zasady, jest nowe prawo wyborcze**. Przechodziliśmy pod tym względem ewolucję niesamowitą, zasadniczo różną od ewolucji innych społeczeństw, pozostających pod dyktandą jednostki. W Rosji Sowieckiej, Italji faszystowskiej, Niemczech hitlerowskich nastąpiły niewątpliwie również fakty wycofywania inicjatywy społecznej z zajętych pozycji i przybranych form. Proces ten odbywał się jednak pod założeniem wytyczenia pracy społeczeństwa nowych kierunków i poddania jej pewnym kierowniczym regułom systemu. Nowe osiągnięcia w metodach i celach organizowania społeczeństwa są tam niewątpliwe. U nas niktby się takich tendencji doszukać nie mógł. Demontowano poprostu systematycznie i z pewną lubością organizację polityczną społeczeństwa, nie dając nic w jej miejsce.

Jak długo Marszałek trzymał w swych rękach ster, nie odczuwało się doniosłości tych **przemian in minus**. Polska bowiem mogła się poszczycić równocześnie wielkimi przemianami w postaci osiągnięć dodatnich. Zyskała powagę bytu trwałego, nie chwilowego tylko, sezonowego. Z organizmu słabego, skazanego na opiekę innych, stała się organizmem w całej pełni obronnym, **a dziś już nawet pozwolić sobie może na tworzenie programu, obliczonego na współzawodnictwo, ekspansję.**

Z chwilą jednak, gdy odszedł od nas Genjusz znaleźliśmy się w ślepej uliczce, pełni świadomości braku przygotowania. Zrozumieliśmy, że ktokolwiek przyjął na siebie ciężar rządów, odnaleźć musi powrotnie drogę do społeczeństwa. Droga do społeczeństwa nie jest drogą do poszczególnych jednostek, składających się na nie. Droga do społeczeństwa jest drogą do jego opinii, zorganizowanej w ideowych wspólnotach dążeń. A przecież właściwie wspólnot tych niema. Zostały zdemontowane razem z partjami. To też w obecnej sytuacji znalezienie drogi do opinii politycznej społeczeństwa wyraża się z natury rzeczy w dwóch etapowych zadaniach: **stworzeniu nowych ośrodków powstawania i krystalizowania opinii politycznej społeczeństwa oraz zadziergnięcia między nimi a władzą stosunku podstawowego zaufania.**

Bez dokonania tych dwóch zadań nie będzie można poważnie liczyć na przyjęcie się i ugruntowanie reform gospodarczych i kulturalnych, a nawet reform ustrojowo-politycznych — tych, które przynosi nowa konstytucja. Przy wprowadzaniu bowiem głęboko sięgających reform ponawia się zawsze to samo zagadnienie, pytanie, czy grunt społeczny jest dostatecznie przygotowany, czy je przyjmie. Tym gruntem społecznym jest środowisko osobowe — ludzkie. Jego postawa duchowa chętna lub niechętna, przyjazna lub wroga, a może raczej: podatna, lub niepodatna, decyduje w ostatniej instancji o powodzeniu reformy. Na to niema rady — czynna musi być postawa społeczeństwa, by mogły się

przyjąć reformy. W zbiorowości ludzkiej — odbiorcy zamierzonych reform musi powstać dla reformy **przekonanie, które przy towarzyszącym mu napięciu uczuciowym przybiera postać entuzjazmu.**

Oderwane więc, zdawałoby się, zagadnienie nadania społeczeństwu nowej struktury politycznej, urasta do **naczelnego problemu**, od którego rozwiązania zależy powodzenie wszelkich istotnych reform społecznych. Uzmysławia to praktycznie szereg ostatnich zdarzeń. Pierwszy rząd polski po śmierci Marszałka Piłsudskiego starał się wszechstronnie zrozumieć wagę swojej odpowiedzialności, swoją sytuację, nie dającą się porównać z sytuacją żadnego z rządów Marszałka Piłsudskiego. Postanowił i zapoczątkował szereg istotnych reform w dziedzinie gospodarczej, leżącej dotąd odłogiem. Charakter tych reform jest tego rodzaju, że kazał spodziewać się wielkiego zainteresowania, żywych debat, gorących dyskusyj. Tymczasem uderza ogólnie zubożenie, zupełny brak oddźwięku i rzeczywistej uwagi. Być może, że przy wielkim nakładzie energii udałoby się sztucznie wykrzesać iskrę przemijającego zainteresowania. Nie wystarczy ono jednak w żadnym razie do przeprowadzenia w życiu zamierzonych przemian gospodarczych. To wszystko dowodzi dobitnie, że o ile sprawowanie rządów w okresie normalnym nie wymaga żywszego oddźwięku, o tyle wprowadzenie w życie istotnych reform **opierać się musi o postawę społeczeństwa pełną gotowości.**

„Przemiany“ pośród wielkiej liczby problemów, którym poświęcały uwagę, podkreślały stale z szczególną siłą to właśnie zagadnienie, wychodząc z założenia, że ruszenie z miejsca palących spraw przebudowy społeczno-gospodarczej, zakładającej z istoty swej skomulowanie wielkiego zapasu energii i entuzjazmu, wymaga normalnego, szerego i prostego stosunku między państwem i obywatelami, rządem i społeczeństwem, dyrektywą państwową i inicjatywą społeczną.

Józef Wojciechowski

Od Redakcji

DZISIEJSZYM NUMEREM ZAMYKAMY DRUGI ROK NASZEGO WYDAWNICTWA. PRZY TEJ OKAZJI DZIĘKUJEMY SERDECZNIE WSZYSTKIM NASZYM PRZYJACIEŁOM, PRENUMERATOROM, CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM — ZA ŻYCZLIWOŚĆ I POPARCIE, OKAZYWANE NAM W CIĄGU NASZEJ DWULETNIJ PRACY.

REDAKCJA I WYDAWNICTWO
„PRZEMIANY“

Na drodze ku poprawie sytuacji gospodarczej

Z kół gospodarczych otrzymujemy poniższy artykuł, który zamieszczamy w przekonaniu o konieczności orjentowania naszych Czytelników w aktualnych zagadnieniach polityki gospodarczej także od strony praktycznej: przewycięzania trudności istniejących i przeszkód, powodujących obranie takiej a nie innej drogi przez czynniki, kierujące polityką gospodarczą.

Redakcja.

Dwie są zasadnicze drogi polityki gospodarczej, przy pomocy których dążyć można do złagodzenia konunkturalnych trudności i ożywienia życia gospodarczego. Pierwsza z tych dróg — to oddziaływanie na wzrost konsumpcji i obrotów gospodarczych poprzez pieniądź i kredyt, druga — działanie w tym samym kierunku poprzez towar i jego niższą, przystępniejszą dla konsumenta cenę.

Nie będziemy tutaj analizować przyczyn kryzysu, ani też oświetlać jego symptomów. Wystarczy stwierdzić, że kryzys ekonomiczny przejawia się zawsze w zwichnięciu równowagi poszczególnych elementów układu gospodarczego, które w swych najostrzejszych skutkach powodują zwichnięcie równowagi między produkcją i konsumcją. Zmniejszająca się zdolność nabywczą konsumentów, a w szczególności konsumentów wiejskich, spotęgowana skurczeniem się, pod wpływem polityki samowystarczalności, zagranicznych rynków zbytu — stała się nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie przyczyną ograniczania produkcji i wzrostu bezrobocia.

Polityka państwa, która chce oddziaływać na wyrównanie powstałych dysproporcji i zaburzeń wynikłych na tem tle w funkcjonowaniu organizmu gospodarczego kraju, w zasadniczym swym nastawieniu (nie wykluczając oczywiście różnych modyfikacji i kombinacji pośrednich) musi się zadeklarować w jednym albo w drugim zaznaczonym powyżej kierunku. Albo więc dążyć będziemy do wyrównania dysproporcji między konsumcją i produkcją przez finansowanie konsumpcji, a więc przez mobilizację wszelkich możliwych do zmobilizowania w danych warunkach środków pieniężnych, aby rzucić je w formie robót publicznych, kredytów inwestycyjnych, kredytów dla przemysłu i t. p. formach na rynek, a w ten sposób umożliwić w pierwszej fazie kryzysu skonsumowanie nagromadzonych zapasów towarowych, a następnie pobudzić pracę aparatu wytwórczego, albo też oddziaływać musimy w kierunku przystosowania się poszczególnych elementów gospodarczych do zmienionej sytuacji. Jeśli ten drugi wybierze się kierunek — trzeba w sposób możliwie szybki i zdecydowany dążyć do obniżenia kosztów produkcji, do dostosowania długów, zaciągniętych w uprzedniej lepszej sytuacji, do zmniejszonych zdolności płatniczych, a przede wszystkim — trzeba dążyć do obniżenia cen towarów i usług gospodarczych i wyrównać te ceny na nowym poziomie, przystosowanym do zmienionych warunków ekonomicznych.

Jak wiadomo, pierwszy z tych kierunków nazywany został w publicystyce gospodarczej metodą inflacyjną, drugi zaś znany jest pod nazwą de-

fłacji. Realizację pierwszej z tych metod obserwujemy w formie najbardziej wyraźnej w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech i do niedawna w Italji (dopóki wojna z Abisynją nie wciągnęła tego kraju w orbitę innego charakteru inflacji — gospodarki wojennej). Druga metoda, jako trudniejsza w zastosowaniu, mniej też ma zwolenników; znalazła ona swe zastosowanie w Polsce, a przed paru miesiącami również Francja wypowiedziała się po jej stronie.

Nie teoretyzując i nie zagłębiając się w dowodzenie słuszności obu tych dróg i metod, należy stwierdzić, że o wyborze jednej czy drugiej zdecydowały w praktyce w poszczególnych krajach w warunki finansowe i społeczno-polityczne. Niewątpliwie o inflacji i t.zw. polityce nakręcania konjunktury w Stanach Zjednoczonych zdecydowały ogromne zapasy złota i kilkadziesiąt miliardów dolarów wkładów bankowych i oszczędności obywateli amerykańskich w instytucjach kredytowych. Te wielkie zasoby kapitałowe nasuwały kierownikom amerykańskiej polityki gospodarczej myśl wykorzystania ich na cele robót inwestycyjnych i kredytowania konsumpcji, prowadzonej do dzisiejszego dnia kosztem ogromnego wzrostu zadłużenia państwa. W Niemczech działał nacisk sytuacji socjalnej (przeszło 4 miliony bezrobotnych w r. 1932) oraz konieczność wypełnienia przez partję narodowo-socjalistyczną jej obietnic, po dojściu do władzy. W Italji, o wyborze inflacji zdecydowały również czynniki polityczne, obok socjalnych, a więc ambicje rozbudowy kraju oraz przygotowywana kampanja afrykańska przez regime faszystowski.

Metodę inflacyjną walki z kryzysem gospodarczym możnaby porównać niejako z „aresztowaniem” kapitałów społecznych na cele finansowania konsumpcji. Odbywa się to w formie zabierania tych kapitałów w sposób mniej lub bardziej przymusowy przez państwo, lokowania ich w papierach państwowych i przeznaczania na roboty inwestycyjne, lub też w zwiększaniu na ten cel obiegu pieniężnego i zużytkowaniu — jak w Niemczech — rezerw złota w instytucji emisyjnej. Podstawowym więc warunkiem tej metody jest posiadanie w kraju dostatecznego zapasu kapitałów i rezerw.

Jeżeli w Polsce ta metoda nie została przyjęta, to niewątpliwie — pomijając szereg jej błędnych założeń i możliwość stosowania inflacji tylko w ograniczonym okresie czasu, aż do wyczerpania się możliwości finansowych — zdecydowało o tem nasze wielkie ubóstwo kapitałowe. Nasza cała przeszłość historyczna i zniszczenia wojenne złożyły się na to, że pod względem zasobów kapitałowych nie mo-

zemy się równać nawet z wielu mniej od nas liczebniemi krajami zachodu Europy, nie mówiąc już o Ameryce. Niewielkie wkłady i oszczędności w naszych bankach, mocno uszczuplone w latach 1930 — 1932 przez wycofanie na około 400 milj. zł. krótkoterminowych kredytów zagranicznych, nie nadawały się jako podkład dla jakiejś szerszej akcji inflacyjnej kredytów. Stosunkowo szczupłe, wynoszące dziś niewiele ponad 500 milj. zł., zapasy złota w Banku Polskim nie dawały również możliwości rozszerzenia obiegu pieniężnego na cele inwestycyjno-kredytowe. Zresztą metoda sztucznego tworzenia kapitałów przez drukowanie pieniędzy, przypominająca czasy wojenne i powojenne, musiała być u nas zgóry wyłączona, jako nieuchronnie prowadząca do ruiny pieniądza i jego dewaluacji. A dewaluacja oznaczałaby przecież zmniejszenie się tych szczupłych kapitałów, jakie posiadamy, zahamowałaby ich dalszy przyrost, a przez podważenie stałości tego miernika wartości i środka wymiany, jakim jest pieniądz, całe życie gospodarcze i jego przyszłość naraziłaby na wielkie wstrząsy.

Dlatego też u nas przyjęto metodę deflacyjną, metodę przystosowywania cen towarów do zmniejszonych dochodów obywateli, a przede wszystkim przystosowania cen towarów przemysłowych do znizonych o około 60% cen artykułów rolniczych i dochodów wsi. Obniżenie cen artykułów przemysłowych i wyrównanie ich poziomu z cenami artykułów rolniczych działać może w Polsce tak samo ożywczo na obroty i życie gospodarcze, jak w krajach inflacji działają zastrzyki kredytowe.

Jest to zresztą w naszych warunkach jedynie możliwa droga. Ta droga, stosowana dotychczas, uzupełniona szeroką akcją podtrzymywania cen produktów rolnych i akcją ulg finansowych dla wsi, przy jednoczesnych wysiłkach eksportowych, podtrzymywała nasze życie gospodarcze. Jeśli nie dawała ona dotychczas większych rezultatów w sensie przewyciężenia kryzysu i szybszych obrotów koła wymiany i produkcji — to nie dlatego, żeby w założeniu swem była zła, (pomijając już to, że jest jedynie możliwa), ale dlatego, że nie dość usilnie może i zdecydowanie była stosowana, że akcja

przystosowawcza nie była szybko i jednocześnie prowadzona na całym froncie cen.

Nowy Rząd p. premiera Kościałkowskiego, w którym ster polityki gospodarczej państwa objął p. Wicepremier Kwiatkowski, do realizacji tej drogi zabrał się w sposób zdecydowany, harmonizując swą akcję w tym zakresie z jednocześnie przeprowadzaną akcją równażenia budżetu państwowego.

Obie te akcje są zasadniczymi elementami planu gospodarczego Rządu, które wzajemnie wspierają się i dążą w jednym kierunku. Jeśli bowiem akcja zniżki cen artykułów przemysłowych ma dać w konsekwencji zwiększenie obrotów gospodarczych, ma umożliwić zwiększenie konsumpcji towarów przemysłowych przez wieś, jeśli przez zwiększenie konsumpcji prowadzić ma do zwiększenia produkcji i zatrudnienia — to zrównoważenie budżetu, skoro zostanie osiągnięte, pozwoli na uwolnienie poważnych kapitałów społecznych, absorbowanych dotychczas przez Skarb Państwa na pokrywanie deficytów. Jeśli deficyty te, wynoszące rocznie około 350 milj. zł., przestaną być pokrywane przez pożyczki państwowe zaciągane w instytucjach finansowych i u obywateli — uwolnią się przez to ściśle na kwotę, odpowiadającą rozmiarom deficytu, kapitały społeczne, które będą mogły pójść bezpośrednio na cele życia gospodarczego i od tej strony wzmocnić obroty gospodarcze.

Plan Rządu niewątpliwie jest pomyślany logicznie, wykonany zaś zdecydowanie przy przewyciężeniu oporów z jakimi, jak każdy plan, musiał się spotkać, przynieść może pożądane rezultaty, przewyciężyć dotychczasowy zastój i przełamać ku górze linję rozwojową gospodarstwa narodowego Polski.

Oczywiście pomyślne skutki tego planu zależą również od stopnia poparcia go przez szerokie warstwy społeczne, oraz od rozwoju sytuacji politycznej w kraju, która zawsze albo hamuje, albo wspomaga realizację zadań gospodarczych.

J. R.

Łączność ponad granicami

Wszechświatowe organizacje narodów

II.

W poprzednim artykule poruszyłem kilka zagadnień związanych z postanowieniem dążności do stworzenia ram organizacyjnych dla wzrastającego poczucia łączności narodowej. Formami, które ucieleśniają tę ideę, są **związki współplemieńcze**.

Powstanie ich związane jest ze wzrostem potencjału poczucia narodowego, z pojawieniem się potrzeby wprowadzenia w czyn idei, łączących się z faktem, że grupa wyodrębnia się ze swego otoczenia i pragnie żyć życiem samodzielnym. Zjawiska te — możliwość uświadomienia sobie odrębności — mają silny związek z poziomem kulturalnym środo-

wiska: im poziom niższy, tem trudniej o odrębność, im wyższy — łatwiej uświadomić sobie różnice.

Strukturalnie związki współplemieńcze opierają się o organizacje terenowe, łączące najpierw rodaków z jednej miejscowości, następnie tworzące centrale terenowe w poszczególnych państwach. Nie da się pomyśleć stworzenie związku bez podbudowy w postaci sieci organizacyjń różnego typu i zasięgu na różnych terenach. Organizacje te najwcześniej nawiązują łączność na terenie jednego państwa, z czasem sięgają do współplemieńców na sąsiednim terenie (Polacy w Westfalji i wschodniej Francji),

a przedewszystkiem zabiegają o kontakt z metropolją. Formy łączności współplemieńców z macierzą są przeróżne: od wymiany dóbr duchowych — jak książka czy pieśń w języku ojczystym do realnej współpracy gospodarczej; ta ostatnia forma, pomagająca rodakom w znalezieniu środków egzystencji — jest jedną z najbardziej skutecznych i wiążących (przykład Niemców).

Choć po największej części inicjatywa stworzenia Związku współplemieńczego wychodzi z metropolji, to jednak siła i prężność organizacyj terenowych, intensywność ich stosunku z krajem, gra decydującą rolę w jego pracy.

Jeśli przypatrzymy się sposobom rozwiązania zagadnienia łączności narodowej w Europie, to łatwo spostrzeżemy, że Światowy Związek Polaków z Zagranicy nie jest instytucją odosobnioną. Podobne związki posiadają: Szwecja, Danja, Estonja, Litwa, Czechosłowacja, Szwajcaria, Jugosławja, Austrja, Francja, Niemcy. O działalności tych instytucyj od czasu do czasu prasa przynosi niktę stosunkowo wieści, publikowane przeważnie tylko wtedy, gdy łączą się z tematami politycznymi. Przed pewnym czasem silnem echem w Polsce odbił się zjazd Litwinów z zagranicy, który opowiedział się zdecydowanie opozycyjnie w stosunku do rządu swego państwa i tam panującego regimu. Najpotężniejszym z europejskich związków jest niewątpliwie niemiecki „Volksbund für Deutschtums im Auslande“ z milionową ilością członków i potężnem laboratorium w postaci instytutu sztutgardzkiego. Ma on nieco inny charakter od naszego Związku, gdyż wprzęga Niemców krajowych do pracy dla swych rodaków zagranicą.

Nieposiadający własnego państwa Ukraińcy zorganizowani są na emigracji świetnie, szczególnie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych A.P., gdzie prowadzą silną propagandę antypolską. Pewne fragmenty działalności tej organizacji odsłonił niedawno proces zabójców ministra Pierackiego.

Jeśli chodzi o zasadnicze koncepcje związków współplemieńców, to w jednych wysuwa się na czoło **praca czynników krajowych na rzecz rodaków zagranicą**, w drugich **praca grup narodowych pozostających zagranicą na rzecz własnego państwa**. Koncepcja pierwsza jest oczywiście popularniejsza, drugą reprezentuje, o ile mi wiadomo, jedynie Związek Estów z zagranicy (Eesti Välis Ühing).

W ciągu swego rozwoju związki starają się obrać drogę pośrednią, pragnąc zaprząć organizacje terenowe do pracy na rzecz metropolji i w ten sposób zrównoważyć niejako te świadczenia, które organizacje otrzymują z kraju.

Rodaków naszych zagranicą zrzesza i organizacje polskie reprezentuje **Światowy Związek Polaków z Zagranicy**. W nim też koncentruje się pomoc, jakiej kraj udziela ośmiu milionom Polaków rozsiadanych dosłownie po całym świecie, od przeszło czteromiljonowej zwartej masy rodaków naszych w Stanach Zjednoczonych A.P. do kilkusetosobowej grupki polskiej na Sachalinie Południowym.

Powstały w 1934 r. z utworzonej pięć lat wcześniej Rady Organizacyjnej — Światowy Związek Polaków z Zagranicy jest instytucją, zrzeszającą zagraniczne organizacje polskie. Członków na terenie kraju nie posiada. Obok Światowego Związku istnieje

szereg małych organizacyj, pomagających Polonji zagranicznej, których działalność, niekiedy b. pożyteczna, w porównaniu ze Światowym Związkiem nie odgrywa większej roli. Obecnie istnieje silna tendencja unifikacji i pracy wszystkich tych komórek ze Światowym Związkiem Polaków z Zagranicy. Osobne miejsce zajmuje w pomocy Polakom zagranicą najstarsza tego typu organizacja — założony w r. 1922 Polski Związek Zachodni (dawny Z.O.K. Z.). Organizacja ta, obejmująca zakresem swych prac także sprawy Niemców w Polsce, liczy dziś 35.000 członków i odgrywa bardzo znaczną rolę w normowaniu stosunków z naszym zachodnim sąsiadem. (Wiele b. ciekawych i pożytecznych szczegółów z dziedziny historii i dorobku Światowego Związku Polaków z Zagranicy, o których z braku miejsca tu nie wspominam, zawierają publikacje tej instytucji, a przedewszystkiem: „Pięć lat pracy dla Polonji Zagranicznej“ Warszawa, 1934, nakładem Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy oraz „II-gi Zjazd Polaków z Zagranicy“, Warszawa, 1935, nakładem Św. Zw. Pol. z Zagr.).

Pożytek pracy dla współrodaków zagranicą w dużej mierze zależy od oddźwięku, jaki działalność danej instytucji znajduje w kraju. Musimy przyznać, że praca organizacyj tego typu nie należy do łatwych. Uświadomienie społeczeństwa polskiego w sprawie współrodaków zagranicą jest tak małe, że nie wytrzymuje porównań nie tylko z Niemcami, ale nawet Czechami i Estończykami. Obok tak ważnego problemu przechodzimy zupełnie obojętnie, dowiadując się jedynie z gazet o prześladowaniu Polaków w Czechosłowacji czy na Litwie. Przeciętny inteligent nie potrafi określić nawet w przybliżeniu liczby Polaków zagranicą, w czołowych publikacjach dla młodzieży znajdują się karygodne przeoczenia (patrz „Mały Piłsudczyk“!). Nie potrzebują chyba nikogo przekonywać, że aby wygrywać walkę o byt naszych współrodaków zagranicą, musimy się nastawić na propagandę wewnętrzną, na uświadomienie własnemu społeczeństwu choćby tych krzywd, które się dzieją w stosunku do naszej mniejszości w Czechosłowacji, na Litwie czy na Litwie. Może świadomość przyniesie nareszcie jakiś żywy odruch, prócz rejestrowania faktów w odpowiednich rubrykach dzienników. Te cele uświadomienia Polaków o Polakach z zagranicy wzięło na siebie między innymi świeżo powstałe Towarzystwo Pomocy Polonji Zagranicznej. Artykuł Prezesa Br. Hełczyńskiego w „Kurjerze Porannym“ z dnia 15/X-35 r. zaznajomił społeczeństwo z wytycznymi pracy Towarzystwa.

Zastanawiając się nad historją organizowania się narodów i sprawami związanymi z dążeniami do osiągnięcia wspólnoty narodowej stwierdzamy, że niewątpliwie są to poczynania słuszne. My Polacy lepiej, niż kto inny, potrafimy ocenić walkę o sprawiedliwość narodową i zrozumieć ją. Ale obserwacja faktów wskazuje nam, że z jednej strony każde dążenie do praktycznej łączności grup narodowych z metropolją wywołuje krwawe nieraz represje, z drugiej zaś działa obok nas tysiąc form pacyfizmu, których idea nie daje się zaszczerpić, bo nie posiada podstaw. Czyby świat, który na tyle już eksperymentów poszedł, nie dokonał jeszcze jednego: osiągnięcia porozumienia między związkami współplemień-

czemi. Byłaby to Liga Narodów sensu stricto, oparta o najżywotniejsze interesy narodowe grup oddzielonych słupami granicznymi od własnego państwa lub rozrzuconych szachownicą po obydwu stronach granicy. Może być ten pomysł mrzonką, ale zdaje się przeczyć temu fakt, że lansują go Niemcy, jeden z najrealniejszych narodów.

Skromne ramy artykułu nie pozwalają bodaj pobieżnie, omówić wszystkich spraw, związanych z problemem Polaków zagranicą. Sprawom tym przeważnie na imię **Przyszłość**. Wiąże się z nie-

mi i problem populacyjny i ekspansja kulturalna i ekspansja gospodarcza, wreszcie pięta Achillesowa naszej państwowej działalności — propaganda!

Cały ten ogrom zagadnień wymaga omówienia. Ta część młodego pokolenia, która do spraw swego narodu i państwa podchodzi od strony praktycznej a nie karmi się doktryną i teorią, musi wziąć na warsztat sprawę 8 milionów Polaków zagranicą.

A sprawa to wagi niepośledniej...

Jan Borowiak

W walce o nowoczesną urbanistykę

Uwagę społeczeństw absorbują dziś prawie bez reszty wielkie procesy ekonomiczne w dziedzinie organizacji wytwórczości, zagadnienia walki o źródła dochodu społecznego, walki o wysokość tych dochodów dla poszczególnych grup społecznych — jednym słowem zagadnienia nowego porządku społecznego, wypływające z załamania się praktyki liberalizmu gospodarczego, tego liberalizmu, pod którego znakiem żyła cała Europa przedwojenna, a który w rękach amerykańskich businessmanów przekształcił swoją zasadę wolnej konkurencji luźnych jednostkowych przedsiębiorstw na zasadę wolnego wyzysku mas społecznych przez ściśle zorganizowane wielkie bloki kartelowe.

W ogniu walk o nowy porządek w dziedzinie organizacji wytwórczości, zainteresowania szerokiego społeczeństwa odsunęły się od zagadnień ostatecznego rezultatu tych walk, od zagadnień polepszenia jakości składowych, służących do zaspakajania codziennych potrzeb szarego człowieka, od zagadnień właściwej organizacji tych składowych.

Brak szerszego zainteresowania społeczeństwa w tej dziedzinie nie ominął, a nawet może specjalnie silnie dotknął sprawę jakości jednej z głównych składowych, służących do zaspakajania potrzeb — sprawę jakości mieszkania, oraz związane z nią bezpośrednio sprawy organizacji bloków mieszkalnych i sieci komunikacyjnej wielkiego miasta — jednym słowem **sprawę regulacji miast**.

Składowe organizmu miejskiego

Trzy zasadnicze elementy tworzą organizm miasta. Dwa pierwsze z nich to **mieszkanie** oraz **warsztat pracy**, stanowiące podstawowe komórki tego organizmu. Trzeci — to **ulica**, wiążąca jak układ krwionośny kompleksy tych komórek; ulica, która łączy te komórki w jedną biologiczną całość; ulica, którą pulsuje życie miasta.

Jaki obraz tworzą dziś te elementy, jakie posiadają braki, jak powinny być zorganizowane?

Można śmiało powiedzieć, iż w miastach co najmniej $\frac{2}{3}$ ludności żyje dziś w mieszkaniach źle oświetlonych, źle przewietrzanych, urągających najbardziej zasadniczym postulatam higieny. W dzisiejszym mieście, opanowanym przez polipa zwarte- tego zabudowania, dwa typy mieszkań przeważają.

Jeden z nich gorszy — to mieszkania wtłoczone w oficyny, otaczające zwarte pierścieniem ciasne i duszne podwórka, oficyny przeważnie jednotraktowe (o jednym rzędzie izb), przyparte jedną ścianą do ściany szczytowej sąsiada, skazane tem samem na brak naturalnego przewietrzania, na oświetlenie oknami zwróconemi w jedną tylko stronę nieba — jakżeż często w jego stronę północną. Drugi typ tych mieszkań — lepszy — to mieszkania t.zw. frontowe, z których połowa wychodzi również na duszne i ciemne podwórko, połowa zaś na ulicę — prawie zawsze wąską i hałaśliwą, szczelnie odgrodzoną od szerszego oddechu jednostajnymi murami stojących przy niej w zwartym szeregu kamienic.

Warsztaty pracy większej części mieszkańców dzisiejszego miasta, wciśnięte w zwarte zabudowanie, noszą piętno tych samych braków, co i mieszkania.

Charakterystyczna bezplanowość narastania dzisiejszych miast powoduje przytem dziwne pomieszczenie dwu zasadniczo różnych elementów miasta jakim są: mieszkanie oraz warsztat pracy, lokując z jednej strony budynki mieszkalne w dzielnicy centralnej miasta, w jego city, z drugiej zaś strony rozrzucając budynki biurowe i fabryczne wśród dzielnic o przeznaczeniu mieszkalnem.

Trzeci element dzisiejszego miasta — ulica — zorganizowana jest w sposób nielepszy. Obramujące ją dwoma szeregami kamienice, ukrywają swoje bryły poza szaremi, płaskimi fasadami, tworząc jakby sztuczną, jednostajną i pozbawioną plastyczności dekorację.

Ulica taka pozbawiona powietrza i zieleni, w najlepszym razie ozdobiona szeregiem suchotnicznych drzewek, na każdym obserwatorze, który uważnie się jej przyjrzy, musi robić wrażenie wilgotnego, ciasnego parowu, wyżłobionego nieprzerwanym prądem życia w narastających wiekami na obliczu miasta osadach bezładnych, zwartych zabudowań.

Codziennie tysiące ludzi przeciska się temi wązowami, tysiące te rosą z biegiem lat w dziesiątki i setki tysięcy, w strumień coraz silniejszy. Tymczasem mury otaczających ulice kamienic, które ze wzrostem miasta dają swoim właścicielom zyski coraz większe — są twarde i nieustępliwe, tak że

strumień płynący ulicą, zamiast rozlać się w swobodny szerszy nurt, musi zwalniać swój bieg, musi złościć sobie ciemne wynaturzone tunele ulic podziemnych, musi dwoić i troić poziomy swego przepływu. Pozatem w wielu wypadkach nurty przepływu miasta, rozlewające się z jego rozwojem na dalsze, równoległe arterje, napotyka na osi tych nowych kierunków komunikacyjnych — narosłe poprzednio przypadkowo przeszkody, chronione bądź nieustępliwym prawem własności, bądź też tradycjami niewspółmiernymi do ważności zagadnienia racjonalnego układu komunikacji w mieście. Te przeszkody powodują kręte przepływy głównych nurtów ruchu w mieście, przedłużają szkodliwie połączenie śródmieścia z poszczególnymi dzielnicami miasta i tamują racjonalny rozwój głównych kierunków komunikacyjnych. Ponieważ arterje komunikacyjne są elementem miasta najbardziej stałym, najtrudniej zmieniającym nadane mu formy i kierunki i tworzącym wskutek tego jakby zasadniczy szkielet miasta — racjonalna regulacja miasta wymaga położenia specjalnego nacisku na właściwe zorganizowanie tych arterji, na stworzenie racjonalnego układu głównych osi komunikacyjnych, na nadanie ulicom, tworzącym ten układ, właściwej, przystosowanej do przewidywanego rozwoju miasta, szerokości.

Zasady racjonalnego planowania

Systemat głównych arterji miasta winien zasadniczo tworzyć w centrum miasta — jego city — dwie przecinające się prostopadle wiązki równoległych szerokich ulic, odległych od siebie o około 500 metrów, przytem liczebność arterji w każdej z tych wiązek wynika bezpośrednio z rozległości centrum miasta. Ulice każdej z tych wiązek po przejściu centrum miasta winny tracić swoją równoległość — rozbiegając się promieniście. Systemat taki tworzy w rezultacie jakby podwójny — dwukierunkowy pęk linii pola magnetycznego, które z układu promienistego zdążającego do ośrodka pola — centrum miasta — wnikając w ten ośrodek, przechodzą w linie równoległe, by następnie po przejściu centrum rozbiec się znowu promieniście. Sieć ulic miasta tak ułożona daje racjonalne zagęszczenie arterji w śródmieściu, gdzie ruch z natury rzeczy intensywniejszy wymaga gęstszych nurtów przepływu, przytem poza tem uzasadnieniem teoretycznym sieć taka odpowiada i naturalnej strukturze obecnych miast.

Przykład Warszawy

Jeżeli analizujemy którekolwiek z miast istniejących, zawsze w niem znajdziemy główne arterje komunikacyjne tak zasadniczo rozłożone; oczywiście są one zwykle w szczegółach skażone, czy to ze względu na warunki terenowe naturalne, jak wzgórza i rzeki znajdujące się na terenie miasta, czy też ze względu na warunki zewnętrzne, jak powstałe uprzednio na osiach przyszłych arterji — budynki, ogrody, tereny kolejowe i t. p. Te właśnie przeszkody zewnętrzne, jako deformujące sztucznie racjonalny układ miasta, winny w pierwszym rzędzie przy celowej regulacji — z oblicza miasta zniknąć. Dla Warszawy naprzykład układ głównych osi komunikacyjnych rysuje się według podanego przez

nas szematu — bardzo wyraźnie. W kierunku północ-południe centrum Warszawy posiada cztery arterje. Pierwsza z nich — najstarsza, to Krakowskie Przedmieście — Aleje Ujazdowskie, wybiegające promieniście z jednej strony w ul. Belwederską, z drugiej zaś przez ul. Miodową, Nowowiniarską i Bonifaterską — w ul. Mickiewicza na Żoliborzu. Na tej osi, jako sztuczne przeszkody, istnieją: brak wiaduktu przy przejściu przez kolej obwodową oraz wąskość ulic, łączących Krakowskie Przedmieście z ul. Mickiewicza.

Druga arterja — to oś: Marszałkowska — Nalewki, wybiegająca promieniście z jednej strony w ul. Puławską, z drugiej zaś strony łącząca się również z ul. Mickiewicza a to wobec zakrętu Wisły na Żoliborzu, powodującego zniekształcenie w tym punkcie teoretycznego układu wiązki arterji. Ta oś, obecnie coraz bardziej ruchliwa wobec przesuwania się od dłuższego czasu centrum miasta na zachód i południe — jest zniekształcona przez brak bezpośredniego połączenia ul. Marszałkowskiej z ul. Nalewki, które to połączenie łatwo możnaby uzyskać przecinając Ogród Saski i znośząc kilka kamienic. Brak omawianego połączenia powoduje kręty przepływ głównego obecnie nurtu komunikacyjnego Warszawy, przedłużając go o około jeden kilometr.

Trzecia arterja — powstająca, dopiero — to arterja NS, zastępowana obecnie w części północnej miasta przez ul. Żelazną i Smoczą.

Wreszcie czwarta — to ul. Towarowa i Okopowa; oś ta wybiega na południe promieniście ul. Grójecką, z drugiej zaś strony w ul. Powązkowską.

W kierunku zachód-wschód Warszawa posiada obecnie zaledwie dwie arterje, które w najbliższym czasie, wobec wielkiego znaczenia dla miasta (zarówno ruchu transytowego jak i ruchu regionalnego w tym kierunku) — winny być rozbudowane przynajmniej do czterech arterji. Arterje wschód-zachód istniejące — to Aleje Jerozolimskie, Al. 3-go Maja — Most Poniatowskiego — nowo otwarta Al. Waszyngtona oraz ul. Wolska, Chłodna, Elektoralna — Senatorska — Most Kierbedzia — Zygmuntońska. Pierwsza z nich z jednej strony wybiega w ul. Grochowską, z drugiej zaś ma znaleźć przedłużenie w projektowanej autostradzie do Łodzi.

Druga z tych arterji łączy szosę Wolską z szosą Radzymińską przytem jej część na Pradze przebiegając obecnie krętą trasę ul. Targowej, Żąbkowskiej po projektowanem zniesieniu dworca Wileńskiego ma być racjonalnie wyprostowana. Arterja ta w centrum miasta wymaga również zasadniczej przebudowy a to wobec zbyt małej szerokości ul. Elektoralnej i Senatorskiej. Jako uzupełnienie arterji w kierunku wschód-zachód narzucają się istniejące obecnie w stanie cząstkowym następujące dwie osi. Pierwsza, którą stanowiła dodatkowe połączenie szosy Wolskiej z Radzymińską — to oś Grzybowska — Królewska — projektowany most na Karowej — Brukowa oraz Żąbkowska; druga — to oś, której zadaniem byłoby obsługiwanie handlowej północnej dzielnicy miasta, a która winna przebiegać Gęsią, Franciszkańską, przez Most na Wiśle w przedłużeniu ul. Kościelnej. Jej naturalne przedłużenie stanowiłyby promienie ulic: od wschodu — św. Wincentego i Wejherowskiej, od zachodu Obozowej.

Rozważane w sferach architektonicznych rozwiązania komunikacji Warszawy w kierunku wschód-zachód przez projektowane przeprowadzenie ulicy Wolskiej tunelem pod ogrodem Saskim i placem Marszałka, należy uznać za zupełnie niecelowe i nieracjonalne. Ulica, przechodząca tunelem z natury rzeczy oddzielona sztucznie od organizmu miasta i nieposiadająca w centrum miasta powiązań z głównymi nurtami ruchu, nie może w sposób właściwy spełnić swego zadania.

Miasta przyszłości

Pokazawszy na przykładzie Warszawy, jak zasadniczy układ arterij w mieście winien być celowo zorganizowany, należy stwierdzić, iż **racjonalne założenie i konsekwentna realizacja wiązki głównych osi komunikacyjnych miasta jako jego zasadniczego szkieletu strukturalnego jest sprawą o największym znaczeniu przy regulacji miasta.** Drugą z kolei sprawą jest **sprawa wypełnienia tego szkieletu, sprawa układu budynków w sieci ulic, sprawa należytego zorganizowania tych budynków.** Tu jako główną zasadę nowoczesna urbanistyka winna sobie postawić zasadę luźnego zabudowania, zasadę, która w rezultacie daje budynek otoczony zewsząd

powietrzem i światłem, która pozwala na kompozycję budynków w jego trzech naturalnych wymiarach, która pozwala włączyć stracone przy zwartem zabudowaniu przestrzenie zatechłych i dusznych podwórek w świeży prąd powietrza, przepływający racjonalnie szerokimi ulicami miasta.

O bezspornej wyższości zabudowania luźnego nad zabudowaniem zwartem nie pamiętają niestety nawet urbaniści, nietylko nie czyniąc nic, by w źle zabudowanym śródmieściu przez odpowiednią komasację nieracjonalnych działek umożliwić zabudowanie luźne, ale nawet przewidując w planach regulacyjnych miast zabudowanie zwarte dla tych dzielnic, które go jeszcze nie posiadają. Przy rozwiązywaniu zagadnień urbanistycznych należy pamiętać także o tym, że tylko wnikliwa i zapobiegliwa ingerencja instytucji społecznych i samorządowych w prywatną inicjatywę budowlaną może w końcu doprowadzić miasto do właściwego stanu.

Liberalizm, którego opłakane rezultaty stwierdziły społeczeństwa zarówno w zastosowaniu do spraw politycznych jak i gospodarczych — i w tej dziedzinie prowadzi do chaosu, szkód społecznych i nieracjonalnej organizacji życia zbiorowego.

Józef Koziński

Kolumna dyskusyjna

W ostatnich numerach „Przemian” ukazały się dwa artykuły, które wzbudziły duże zainteresowanie i żywą dyskusję. Jednym z nich był artykuł Tadeusza Nowackiego p. t. „Refleksje o sztuce społecznej” (nr. 10), drugim artykuł L. Frydego p. t. „Młodszy bracia Cerazego Baryki”, zamieszczony w nr. 11.

Zamieszczając poniżej dwa głosy polemiczne, wyrażamy nadzieję, że zapoczątkują one szerszą dyskusję, która oświetli głębiej i wszechronniej te niewątpliwie ciekawe zagadnienia.

Redakcja

W sprawie t. zw. sztuki społecznej

Ileć raz zabieramy dzisiaj głos w sprawie sztuki, jej nastawienia i zastosowania w urabianiu opinii i kultu tych wartości społecznych, na których to próbujemy oprzeć organizację nowoczesnego społeczeństwa, to zawsze wychodzimy z jednego założenia, że sztuka ma zadania społeczne, powinna wnosić wartości społeczne i że zadaniem artysty jest wypełnić tę służbę. Od tego też uzależniona jest wartość jego twórczości, na podstawie tego też klasyfikujemy go jako artystę i człowieka.

Postawienie w ten sposób zagadnienia sztuki ma nietylko swe uzasadnienie psychologiczne i historyczne, ma nietylko wartość przemijającą, jako treść ewolucyjnie i seryjnie powstającego i walczącego jednego z dwóch prądów życia duchowego ludzkości, ale uzasadnienie jego tkwi korzeniami

w naturze naszej, w jej biologicznych stosunkach, dynamice życia zbiorowego.

Można śmiało powiedzieć, że jak nasze życie, nasza osobowość jest wynikiem takich a takich konfiguracji i prądów społecznych, podlega pewnemu morale, tak każda twórczość, którą jednostka stwarza, nie może stać poza nawiasem tych samych sfer oddziaływań stosunków i norm przyjętych, w jakich żyje jednostka.

Jasnym więc jest, że już dla tych samych momentów każda sztuka jest z natury swej poza tendencją i celem danego poglądu zjawiskiem społecznym. W skróconej formie można powiedzieć, że jest społeczną. Stąd też każde rozgraniczenie sztuki na społeczną i poza społeczną z punktu widzenia pewnego światopoglądu jest wartościowaniem niepełnym, bo nie

obejmuje całokształtu procesu narastania się twórczego, nie bierze pod uwagę splotów okoliczności, oddziaływań zbiorowości i przeżycia emocjonalnego w jej ramach, bo na podstawie dedukcji pogładowej próbuje podporządkować i zogniskować dla celu chwilowego całość przejawów twórczych.

Dlatego też w tym sensie podjęta krytyka sztuki, operująca wybitnie uproszczoną metodą, dążąca na gwałt do syntezy, skrótu, uogólnień, i do jak najszybszego wnioskowania i normowania życia sztuki, jest bardzo niebezpieczna, o ile nie jest oparta na dużym doświadczeniu, wnikliwości i znajomości procesów twórczych a przede wszystkim, jeśli nie operuje szeroką skalą przeżyć i doznań artystycznych. Sprowadza się wtedy wartość podjętej krytyki do feljetonu krytycznego o apo-

dyktycznym nastawieniu w sensie: „sądzę...“, „mniemam...“, „musi być...“, lub impresjonistycznego mydlenia, że „jakkolwiek nie znam się na tem, ale myślę, że...“ i w ten sposób, jak poprzednio, aż do znudzenia.

W ten mniejwięcej sposób jest napisany artykuł Nowackiego n. t. „Refleksje o sztuce społecznej“, jakkolwiek autor starał się uniknąć wielu błędów i zdając sobie sprawę ze swej niekompetencji w sprawie sztuki, jej krytycznego rozpatrzenia, nazwał swój artykuł refleksjami, których treść do niczego nie zobowiązuje, gdyż nie podlega żadnej metodzie, opracowania materiału, ani nie posiada wartości wniosków.

Najlepszym tego dowodem jest, że Nowacki mając zamiar pisać o sztuce, ograniczył się do literatury i to tylko do pewnych jej przejawów, nie próbując swych wniosków rozciągnąć na malarstwo, rzeźbę, architekturę czy muzykę. Te ostatnie właśnie wymagałyby czegoś więcej, niż dobrych tylko zamiarów, bądź fachowego wykształcenia, bądź nawet osobistego zaangażowania. Dlatego też Nowackiego refleksje są refleksjami o literaturze społecznej, nie zaś o sztuce społecznej.

Z całą szczerością muszę się przyznać, że nie rozumiem także pojęcia: „literatura społeczna“. Dla mnie dla wyżej wymienionych powodów istnieje tylko jedna literatura. Twórczość literacka może być wartościowa, może być dziełem talentu, może być bez wartości, czyli wogóle nie być dziełem literackim, dziełem chybionem, lub tylko o wyimaginowanych pretensjach.

Bym jednak nie był źle zrozumiany, postaram się podać zasadnicze kryterjum wartościowania literatury i sztuki.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że zagadnienia literatury w dużej mierze są kwestjami przyszłości bez względu na ogólny chaos w rozwoju życia i myśli. Zawsze mimo szybkiego tempa rozwoju rzeczywistości myśl ludzka będzie wyprzedzać istniejącą rzeczywistość, podda ją krytyce, podporządkowywać ją zechce postulatowi etycznemu. Dlatego też uprawiać literaturę i sztukę, lub ich krytykę to nie znaczy uprawiać literaturę dla literatury, sztukę dla sztuki, ale to znaczy spełniać funkcję społeczną. Stąd też dzisiaj pow-

szecznie hołdujemy hasłu, że nie robimy żadnej „tylko“ sztuki ale i żadnej „także“ sztuki, że równoległe do walki o urzeczywistnienie nowych form społecznych, walczyliśmy o nowe formy artystyczne, nowe tereny eksploatacyjne. Postawa ta jest zdobyczą, którą wynieśliśmy z pola walki tych dwóch ścierających się ze sobą prądów, z których jeden opiera się na realizmie, drugi na idealizmie.

Ze dzisiaj ze względu na ogólne położenie społeczne i ustrojowe szerzą się tendencje wprzagnięcia sztuki w rytm przeobrażeń strukturalnych, że są nawet tego próby, to rzecz prosta, że jest to ta samą krańcowością, jak głoszenie hasła: „sztuka dla sztuki“. Zresztą na tem właśnie polega według Matuszewskiego postęp kultury, który możemy sobie wyobrazić jako ruch po spirali w górę, który zawsze powraca do tych sa-

mych kierunków, ale nigdy nie na to samo miejsce.

Dziś się przeżyły już wszystkie awangardowe pomysły, które powstały nie pod wpływem poczucia istotnej wartości kultury, jej życiowego znaczenia, lecz spowodu znudzenia i niechęci do starych form. Cała dzisiejsza sztuka czuje na sobie tymczasowość formy i treści. Wiedzą o tem wszyscy. Stąd też jesteśmy świadkami tego niepokoju we współczesnej literaturze, szukania jakiegoś bodźca, któryby wywołał u artystów szerokie wycucie tworzywa literackiego i stąd też widzimy, że ci, którzyby chcieli go widzieć w dążności do przeobrażeń strukturalnych, odrabiają takie same kawałki, jak ci, którzy oddali się wyłącznie formalnemu eksploataowaniu artystycznemu.

Mieczysław Jakubowski
(Poznań)

Kompleks Baryki czy misterjum Buffo?

Święty płomień moralnego protestu, rozżarzający do czerwoności dzieła autora „Przedwiośnia“, przepalił na popiół (jeśli można tak górnie się wyrazić) serca młodych poetów. A przeciwko powinienny on właśnie rozpaść i ożywić — wbrew demagogji komunistycznej — wbrew fałszom marksizmu, tego talmudyzmu nowoczesnego i wbrew sentymentalizmowi i anarchji uczuciowej, wyradzającej się w dekadencjką rozpacz lub bierność rezygnacji. (podkr. moje).

„Przemiany“ nr. 11, z artykułu L. Frydego.

W literaturze polskiej współczesnej łatwo można dostrzec pewien rozłam. Powoduje ten rozłam fakt następujący: u literatów naszych istnieje różny sposób podejścia do właściwego określenia roli i zadań literatury powojennej. Według jednych literatura polega na przewycięzeniu normalnego, ciasnego, ograniczonego praktycznymi zagadnieniami, życiowego poglądu na świat. Dla innych cechą zasadniczą winien być żywo drgający nerw rzeczywistości, bliski związek z życiem, i to w stopniu jaknajbardziej bezpośrednim, zarówno w treści, jak i w formie wyrażający się rytmem współczesności.

Niema większego nieporozumienia, niż takie rozróżnienie. Wniosek może być tylko jeden: literatura ma swoje swoiste, odrębne aktualności, swoją odrębną rzeczywistość i prawa. Już Irzykowski udowodnił, że rewolucje

życiowe nie muszą iść w parze z rewolucjami literackimi i naodwrot. Odbiciem wojny światowej w literaturze, odbiciem liczącym się według tego prawa, nie jest literatura wojenna, pacyfistyczna, czy też czysto odtwórcza. Odbiciem natomiast są i będą pewne zmiany techniki literackiej, stosunku do rzeczywistości, jakie po długim łańcuchu przyczyn pośrednich dadzą się sprowadzić do wojny światowej. Związki te napewno niejednokrotnie będą niedostępne naszej świadomości, skomplikowane, ale w tem właśnie rękojmia ich żywotności, bo tam, gdzie — jak na przykładzie literatury wojennej — stosunki między aktualnością a literaturą są zbyt proste, zbyt widoczne, twór podobny niema co liczyć na długie życie literackie. Nie znaczy to, by zaprzeczało się związkowi literatury z życiem, by zawieszało się ją w próżni nowej.

Chodzi tylko o obronę niepisanych a jednak niewątpliwych praw literatury, jej rewolucyj idących własnym torem; chodzi o należytą obronę w imię realizmu życiowego, który wtedy tylko jest realizmem rzetelnym, kiedy sięga do zrozumienia, że każdy strumień życia płynie korytem odmiennym, a bogactwo ich i różnorodność, stanowiące o wartości życia wogóle osiąga się nie podporządkowaniem hierarchicznym, lecz wzajemnym uprawnieniem.

I dlatego w moim zrozumieniu bohater powieści Żeromskiego, Cezary Baryka wprawdzie buntuje się przeciw otaczającej rzeczywistości (jak tego chce autor artykułu „Młodszy bracia Cezarego Baryki“) i nie może się z nią pogodzić, nawet tak dalece, iż choć nie widzi rozwiązania palących go zagadnień, gotów jest wystąpić przeciw własnej, ledwo z pęt niewoli rozkutej ojczyzny. **Nie jest to jednak zwykły instyktowny odruch.** Baryka nie przyłącza się do pochodu robotniczego, „**nic wewnątrznie nie rozstrzygnąwszy, o niczem nie decydując**“, przeciwnie pragnie w ten sposób choć połowicznie **obronić w sobie godność człowieka.** Baryka zrodził się na podłożu buntu i przekory, jest mimo to w zgodzie z swoją chwilą i z samym sobą. To zjawisko literackie wyraża prawdę, która pozwala nam wierzyć, że życie poprzez nieuchwytny dar instynktu twórczego wyraża swoje aktualności, że **spaja dwie pozornie niezłączalne strony: aktualność chwili z aktualnością wieczystą.**

L. Fryde nie widzi jasno tego wspólnego podłoża; — nie wszyscy wiedzą, że wartościowanie istniejących norm **nie polega na przeciwstawianiu się tym normom, lecz na nawiązywaniu z nimi, nawiązywaniu poprzez wniknięcie w głębiny ich i wydobywanie ich twórczych wartości.**

Mimo to dobrze się stało, że Fryde takie, a nie inne stanowisko zajął. Może właśnie bezwiednie inicjuje w ten sposób większą, a potrzebną dyskusję w sprawie naszego młodego pokolenia poetyckiego.

Wysuwając tu kilka własnych uwag i tez, nie myślę, abym mógł temat należycie i wyczerpująco oświetlić, bo trzebaby sprawie tej poświęcić więcej, niż jeden artykuł.

I.

Gdy czytam tomiki najmłodszych poetów — jakże często spotykam w misternych wierszach stare, zużyte obrazy, postrzępione i wyświechtane zwroty, symbole komplikujące i zaciemniające prostą rzeczywistość. Doznaję wówczas przykrego uczucia zażenowania. Nie ulega przecież wątpliwości żadnej, że poeta chciał nas obdarować, ucieszyć, a tu nic, tylko zdziwienie i nuda. Bardzo często maniera.

Jak powstaje to przykre nieporozumienie? Istnieje kilka możliwości: poeta nie dość odgaduje czytelnika i wielokształtność jego zainteresowań, poddaje się konwencjonalizmowi i unika wypraw w kraje nieznane, odchylenia się na bezdroża, oddalenia się od gościńców i udeptanych ścieżek. Nie bez winy jest jednak i sam czytelnik, często zbyt obciążony przeszłością, wymagający, oczekujący od poety rewelacji, objaśnień spraw życiowych, wizyj przyszłości.

Możliwości takich jest niewątpliwie więcej, a wszystkie razem są tylko napomknieniem o przyczynach nieporozumienia między czytelnikiem a poetą.

Czy jednak w petach najmłodszych nie znaleźlibyśmy czegoś ciekawszego ponad czy poza temi nieporozumieniami?

Tu i ówdzie widzimy przeblysłk czegoś spychanego w mrok, zmuszanego do milczenia i zagadywanego wstydlawie. Natomiast wiele częściej spotykamy się z rozpaczliwymi wprost wysiłkami mówienia ciągle o tem samym, tylko na inny, choćby zgoła już niedorzeczny sposób. Byle zwrócić na siebie uwagę. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że gdybyśmy zaprowadzili w literaturze zasadę bezimienności, dla bardzo wielu młodych naszych poetów odpadłby całkowicie najważniejszy motyw tego, co nazywamy prawdziwą „twórczością“. W sztuce słowa zamyka się wyobrażenie interpretacji świata przy pomocy tego narzędzia, jakim jest słowo. Normalnie akcent spoczywał na „sztuce“, dzisiaj przesunął się na „słowo“, w dziedzinę jego fonetycznych i logicznych wartości przy zestawieniach coraz niezwykleszych.

Paradoks bywa świetnym naukowcem, obala stare nałogi, li-

kwiduje jednostronne spojrzenia, ale czyni to tylko wtedy, gdy jest naturalny, swobodny i prawdziwy. Gdy jest przeciągnięty, jest niesmaczny, wręcz śmieszny. Tymczasem już w nagłówkach zbiorów poezji wyczuwamy nieswobodny, ciężki wysiłek jałowego mózgu najmłodszych poetów. Powtarza się w nich bardzo często krzyk z różnemi dopełnieniami, są tam psy, kosmosy, gwiazdy na strychu z pretensjami, słońca w kieratach, odkrywanie tajemnic, bicie w dzwony i t. d. Hałaśliwym nagłówkom odpowiada treść, naogół monotonna. Tu i ówdzie miły wyjątek z tej reguły, zapowiedź czegoś lepszego. Ogólnie odnosi się jednak wrażenie, że duża najmłodszego pokolenia nie wypowiada się w poezji szczerze i bez reszty, lepiej — bez zastrzeżeń...

Ze sztuki słowa porobiono słowa okrutnie sztuczne, zrodziła się akrobatyka uczucia i żargon ekspresji. Gdy prawdziwy uczony nie ma nic do powiedzenia, milczy; to samo czyni prawdziwy poeta.

Nasi najmłodszy tem więcej mówią, im mniej mają do powiedzenia. Czasem jeden zwrot, który im się podobał staje się ojcem długiego wiersza. Niekiedy znowu jest piękna myśl, ale ją zasłoni, wykrzywi, zniszczy metafora niepotrzebna i sztuczna, przymiotnik zaciemniający i banalny. Gdy się czyta liryki poetów młodych (niektórych), niepodobna oprzeć się uczuciu towarzyszącemu lekturze, niby przydźwiękowi tonu podstawowego, że to się już gdzieś słyszało. Czy dawno może? Nie, onegdaj, wczoraj, inny poeta powiedział innemi słowami to samo nic.

Brak miejsca uniemożliwia mi przytoczenie większej dawki klasycznych przykładów tego umiłowania łatwizny i chadzania mistycznego po koturnach „słowa“, które stało się w wierszach orgią i rozpasaniem retoryczki ckiej i rozbrajającej.

II.

Nie mam pod ręką produkcji całej za lata ostatnie, ale to co mam, odbiera odwagę. Z drobnymi wyjątkami panuje w tych utworach beznadziejny, pusty konwencjonalizm. I nie tylko u najmłodszych.

Są wprawdzie utwory, w których widać próby otrząsania się z łatwych i miłych nałogów, a szukania czegoś wielkiego i trudnego zarazem, co w części usprawiedliwia nasze ciche nadzieje, że przecież młoda twórczość poeticka oderwie się od swoich użytych metafor i zacznie tworzyć świat od-nowa.

Droga jest tylko jedna. Poeta musi się uczyć, musi mieć coś

do powiedzenia, coś takiego, co by fascynowało nawet bez rytmu i bez rymu. Wtedy będziemy poetów czytali. Wtedy będziemy uczyli się od nich rozumienia świata. Dzisiaj dają człowiekowi nieco ocytanemu okrutnie mało. Trochę oklepanych metafor o chlebnym słowie i o picciu nieba i zapachu kartofli, co w sumie jest bardzo niewiele.

Emil Zagaiński Poznań

SUSEM PRZEZ PRASĘ

Dziesiąta rocznica śmierci Stefana Żeromskiego przeszła w prasie polskiej prawie nie zauważona. Wileńskie Słowo, swoim zwyczajem, zamieściło skandaliczny artykuł. Wiadomości Literackie ratowały opinię innych pism tego rodzaju, w prasie codziennej ukazały się konwencjonalne, dziennikarskie wspomnienia „z okazji”, gdzie zamieszczono fotografię i to wszystko. Pozatem cisza i pustka. Inaczej postąpiła młodzież. Ukazał się cały szereg niebanalnych artykułów, studjów. — Próbowano niejednokrotnie dać syntezy wpływu Żeromskiego na młode pokolenie, dorastające w latach powojennych. Najciekawszą bezwątpienia jest próba „KUŻNI MŁODYCH”, która poświęciła cały numer autorowi „Przedwiośnia” (Mało kto wie, że w niedawno odbytym, ogromnym plebiscycie, w którym wzięło udział kilka tysięcy młodzieży, „Przedwiośnie” zdobyło tytuł najpiękniejszej książki Polski Niepodległej). Czytamy w nim we wstępnym artykule: „numer jaki wydajemy na dziesiątą rocznicę zgonu Żeromskiego nie jest numerem hołdowniczym w najpłytszym i najbanalniejszym znaczeniu tego słowa. Składamy hołd Zmarłemu Pisarzowi nie przez pisanie bezkrytycznych panegiryków, ale przez możliwie najpełniejsze uchwycenie poszczególnych ustosunkowań się młodzieży do jego twórczości. Dla-

tego w jednym numerze znajdują się prace napozór sprzeczne ze sobą; obok wyrazów najwyższego hołdu znajdują się i słowa krytyki. Stwarza to pozór niekonsekwencji. Podkreślamy, że jest to tylko pozór. Ta właśnie różnorodność i indywidualność w podchodzeniu do Żeromskiego stwarza jakąś inną konsekwencję syntezy”.

Takie właśnie podejście — możnaby powiedzieć raczej męskie, niż młodzieńcze — pozwoliło stworzyć ciekawy, różnorodny dokument, jakim bezwątpienia stanie się ten numer Kuźni.

W numerze GAZETY POLSKIEJ z dnia 9 grudnia znajduje się artykuł Ferdynanda Goetla, zatytułowany: „Słownik bez pokrycia”. Z dużą wnikliwością i spostrzegawczością pisze autor o powstawaniu nowej gwary, gwary inteligentkiej.

„Jest to gwara bardzo subtelna, ledwo dostrzegalnego gatunku... Polega raczej na zestawieniach słów, niż na samych słowach. Terminy jej mają pretensjonalność pewników i dźwięczą zdobywczo, jak fanfary nowoodkrytych zjawisk życia lub przytłaczają nas autorytatywnie, jak przykazania nowego stosunku do świata. W rzeczywistości zaś gdy się nad nimi uważniej zastanowimy, musimy dostrzec, że gromkość ich pokrywa jakiś

falsz, jakaś płycizna, jakiś brak umiejętności czy odwagi wypowiedzenia się logicznego i odpowiedzialnego”.

Nie możemy się natomiast zgodzić z dalszemi wywodami autora i analizy kilku przykładów tego inteligentkiego stownictwa — świat pracy, państwo pracy, szary człowiek. Bo dla Goetla terminy te — same w sobie — są puste, nie zawierają określonej treści. Dla nas natomiast są one pełne życia, a bezwartościowemi, zakłamanemi stają się tylko wtedy, gdy używają ich ludzie, psychicznie im obcy, lub obojętni. W tej chwili dzieje się tak w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto. — Mówi to jednak nietylko o ich bezwartościowości, co raczej o płyciznie inteligencji, której wystarcza zamiast przeżycia, narkotyki.

Ustaliło się u nas przekonanie, że wieś niżej stoi pod względem uświadomienia społecznego, niż miasto. Uogólnienie to krzywdzi ją często niesłusznie, zwłaszcza gdy chodzi o młodzież wiejską. Ruch młodowiejski jednoczy dziś kilkaset tysięcy zorganizowanej młodzieży, której postawa społeczna nie budzi wątpliwości. Załączkim siły jego stało się przede wszystkim odcięcie od starej generacji wiejskiej, obciążonej w życiu politycznym i społecznym całym szeregiem zastarzałych przywar i błędów. Umiał on się wyzbycić egoistycznej postawy, wobec innych klas pracujących — robotniczej i inteligentkiej, postawił swój stosunek do Państwa na głębokiej trosce o jego siłę. Ujawnia się ona bardzo wyraźnie w doskonałym artykule Stanisława Gierata o jednolitym froncie ludowym „Potrafimy się przeciwstawić wszystkim którzy w sposób podstępny pragną osłabić organizm państwowy, potrafimy zwalczyć wszystkich, którzy judzą przeciw chłopskim planom organizowania samodzielnej siły społecznej do bu-

dowu nowej rzeczywistości polskiej, bez względu na to czy oni będą z prawicy czy z lewicy. Fronty zawierać możemy i będziemy tylko w imię wspólnych ideałów, oraz przy dogadaniu się odnośnie sposobu ich realizacji; fronty możemy zawierać z tymi, którzy własnym wysiłkiem dążą do realizacji przemian społecznych w Polsce, natomiast będziemy zwalczać wszystkie grupy, działające pod

rozkazami państw ościennych, dla osłabienia naszej prężności i woli do urządzania się u siebie według rodzimych wzorów”.

„Nie potrzebujemy dyrektyw marksowskich do zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej, sami damy sobie radę z obaleniem kapitalizmu, czy ujarzmieniu rozwielnionego ziemiaństwa, czy kleru”.

(PRZODOWNIK WIEJSKI nr. 7).

WŚRÓD KSIĄŻEK

Sławoj Składkowski — STRZĘPY MELDUNKÓW — Warszawa 1936. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski.

Miesiące ostatnie przyniosły wiele bardzo cennych i ciekawych prac o Marszałku Piłsudskim — wymienić choćby tylko można prace Wasileńskiego i Lipińskiego.

Jednakże żadna z prac tych nie oddaje tak plastycznie, jasno i barwnie a zarazem niezmiernie bezpośrednio potężnej indywidualności wielkiego Marszałka, jak ostatnia książka Gen. Składkowskiego.

Zatrzymać się może warto najpierw nad osobą autora. Składkowski jest człowiekiem, który nie odgrywając zasadniczo, wybitniejszej roli politycznej — przez długi okres czasu pracował jednak na eksponowanych stanowiskach państwowych, pełniąc te funkcje — jak sam w swej książce przyznaje, na wyraźny rozkaz Marszałka. Był jednym z Jego najbliższych współpracowników. Mimo to stosunek jego do Marszałka jest stosunkiem żołnierskiego posłuchu, co jasno przebiega przez całą książkę jak również i niezmiernie głębokie oddanie dla swego Wodza, oddanie jakie może dla przeciętnego czytelnika wydaje się często być niezrozumiałe.

Powstanie książki zawdzięczamy skrupulatności autora, który pełniąc funkcje zlecone przez Marszałka, czy też stykając się z Nim na innej płaszczyźnie niż służbowa, wszystkie widzenia i posłuchania u komendanta, które nazywa „meldunkami“ skrzętnie notował — podając ich najwierniejszy obraz — przytaczając szczegóły i dosłowne brzmienie instrukcyj jakie nieraz w dwóch słowach otrzymywał.

Dzisiaj już, ze stanowiska kilkumiesięcznej przeszłości „meldunki“ te mają niezmiernie cenną wartość historyczną, charakteryzując z jednej strony epokę, jej nastrój i prace, epokę na której jedyne i mocne piętno wycisnął Marszałek Piłsudski, z drugiej strony podając nam obraz Jego inny niż znany — bardziej bliski — dowolnej realny i konkretny.

Nie da się zaprzeczyć, że książka Składkowskiego, dla którego Marszałek był raczej rzutem rzeczywistości, który doceniał Marszałka — raczej jako Siłę i Myśl — niż jako żyjącego człowieka, — może zbliżyć

zupełnie Jego obraz i zgruntu go zmienił. Nie da się jednak również zaprzeczyć i jest to najistotniejszą cechą tej książki, że na jej podstawie, przy znajomości historii nowej na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, można sobie stworzyć nowy obraz Marszałka i atmosfery Jego pracy inny niż ten, który mieliśmy dotychczas obraz odzwierciedlający Go nietylko jako Wodza i kierownika Państwa, ale jako człowieka z całym sposobem jego bycia — życia i myślenia.

Kapitałnie wprost z meldunków wysnuć można charakterystykę Marszałka i Jego system pracy w okresie kiedy staczał zaczęte walki z przerostem parlamentaryzmu, kiedy z całą stanowczością i konsekwencją zwalczał trudności rzucone mu pod nogi — demaskując, tnąc konsekwentnie, nie zważając na odgłosy czy opinie.

I tak naprzykład streszczenie posiedzenia Rady Ministrów poprzedzające ostatnie walki z parlamentem — wybory w 1930 roku — jest nieodzownym uzupełnieniem rozgrywki.

... „dnia 18 sierpnia 1930 roku o godzinie szóstej i pod poprzednim wzwaniu przybyliśmy do Prezydium Ministrów na Radę Gabinetową. Punktualnie o oznaczonej godzinie Pan Marszałek zasiadł na fotelu Premiera.

... Pan Marszałek zaczął mówić głosem głębokim i podnieconym. — Zebrałem Panów — by dać wam wzorek do uchwalenia. Wzorek ten brzmi o rozwiązaniu Sejmu.

... Ja dawno mierzyłem swoje możliwości i niemożliwości pracy. Pierwszą rzeczą, która mię skłania do rozwiązania Sejmu, jest system niemożliwości babrania się w wielkich brudach...

Ja nie mogę zależeć od czasu wakacyjnego jakiegoś drania... Musiałbym odpowiedzieć na te draństwa, — stale gwałtem odpierając próby anarchizowania Państwa — w sposób bezczelny.

„jestem człowiekiem Wojny — mogę popełnić gwałt... Musiałbym popełnić gwałt za gwałtem, a jednak życie mi zbryzdło“.

Jak na dłoni w książce tej przesuwają się przed oczyma historia ostatnich dziesięciu lat. — Odchodzenie ludzi — przychodzenie nowych — obejmowanie stanowisk najbardziej nieoczekiwane. Pociągnięcia twarde, ciężkie, często może nieudolne, przybierają wytlomaczone cha-

rakter konieczności, tem przystępniej i jaśniej oddane, że wpleciono w kanwę osobistego stosunku i osobistych wspomnień autora. Wiele jeszcze z faktów nie nadaje się dzisiaj do opublikowania, na wiele jeszcze zawcześniej, — te jednak — podane dają świetny pogląd na historję ostatnich lat i pozwalają odczuć, że losami lat tych kierował wielki Wódz.

Z każdego wspomnienia przebiega potęga geniusza i wielkiej indywidualności.

Najbardziej jednak charakterystyczną cechą tej książki jest przebijający z każdej jej strony żołnierski stosunek do Marszałka, bo za żołnierzy uważali się wszyscy Jego najbliżsi pomocnicy — jak i nowa brać legionowa. Stosunek ten opierał się na zasadach bezwzględnej posłuchu. Wszyscy oni w pracy swej byli wykonawcami Jego woli.

Trochę może nawet uśmiech na twarzy wywołać może zdanie... odbywa się dyskusja nad budżetem Państwa na rok 1930/31. — Przewodniczący sam Marszałek. — Przemówienie Marszałka wykazuje konieczność wspólnych cięć budżetowych, każdy prawie minister musiał obciążyć budżet swego resortu.

a jednak...

„Ja skończyłem“ — mówi Marszałek. — westchnijcie Panowie ciężko, bo każdemu wolno jest westchnąć i podnieść ręce... (licząc) przeszło wszystkimi głosami przeciw głosowi pana Potempskiego — Skończone.

Nie innym był stosunek mas legionowych do swego wodza —

Oto... Zjazd legionistów w Radomiu — wiara będzie zniebity i przemoknięta, ale stokroć gorsza od niepogody będzie niepewność, czy zobaczymy choć na chwilę Komendanta...

Oto ostatecznie przyjechał.

...W chwilę potem w towarzystwie obywateli Sławka i Śmigłego wsiadł na wysoki ganek, panujący nad placem, zobaczył zbitą masę oczekujących kolegów. Huragan gorącej radości i entuzjastycznych okrzyków przeleciał po placu w chwili ukazania się pochylonej postaci Komendanta.

... po długich chwilach entuzjazmu stanęła masa do defilady na ciasnej przestrzeni placu. Niesporo im schodzić z placu i tracić z oczu komendanta.

W książce widzimy też Marszałka z innej zupełnie nieznannej nam strony. — Kilka „meldunków“ w sprawach prywatnych pozwolą nam wyrobić sobie pogląd na osobisty stosunek Marszałka do otaczających go ludzi, a z drobnych paru zdań możemy uchylić rąbka tajemnicy prywatnego życia naczelnego Wodza.

Całość książki, chociaż z jednej strony nie usystematyzowana jeszcze — wydaje się być najcenniejszym dokumentem Jego życia. Chociaż bowiem zrywa i zrywać musi zasłonę naszego dotychczasowego poglądu na osobę Marszałka, — to z drugiej strony buduje nowy — każe nabierać szacunku do wielkiego człowieka, który „nie cofał się nigdy przed odpowiedzialnością a zwłaszcza kiedy kraj staje wobec wielkiego niebezpieczeństwa“.

Nie znajdziemy w niej niczego co głębiej dotykałoby zagadnień społecznych — znajdziemy za to najlepszą bodajże możliwość poznania Go bliżej.

Ilustrowany Kurjer Co
Kraków /5/

P. II

441